

Agnieszka Koniarz

## Światło zza firanki

Miałam trzy lata, gdy rodzice po raz pierwszy zasłonili firanki na głucho. Radio szeptało o stoczni, o strajku, o ludziach, którzy przestali się bać. Mama kładła palec na ustach, a ja uczyłam się, że cisza potrafi krzyzczeć głośniejsz niż megafon.

Dorastałam w cieniu lat osiemdziesiątych. Kolejki, kartki, puste półki. Dzieciństwo miało smak cukru odmierzanego łyżeczką i herbaty parzonej na kilka razy. W sklepach pachniało wilgocią i octem, a ja myślałam, że tak wygląda normalność.

Grudzień 1981 roku pamiętam jak zimne zdjęcie, które nosi się w sercu. Warkot czołgów, stukot butów o bruk, światło latarni odbite w śniegu. Mama przyciskała mnie do siebie i szeptała: „Śpij, córeczko”. Ale sama czuwała całą noc przy radiu, które trzeszczało, jakby bało się własnych słów.

Potem przyszło dorastanie w rozdwojonym świecie. W szkole uczyli nas o „bohaterskiej partii”, a w domu ojciec mówił o ludziach, którzy mieli odwagę powiedzieć „nie”. Zrozumiałam, że prawda ma dwa oblicza: jedno oficjalne i drugie – nasze, ukryte, najważniejsze.

Miałam jedenaście lat, gdy ojciec zniknął na kilka tygodni. Mama powtarzała, że „wyjechał”, ale widziałam, jak nocami płakała w poduszkę. Wigilia z pustym talerzem bolała bardziej niż głód. I nagle – ciche pukanie. Sąsiadka z kromką chleba i jabłkiem. „Żebyście nie byli same” – powiedziała. To był dar większy niż złoto. To było zwycięstwo serca nad strachem.

W piwnicy stał powielacz. Podawałam ojcu kartki. Farba brudziła dłonie, serce waliło jak szalone. Bałam się kroków na klatce, a jednocześnie czułam dumę. Każdy ślad atramentu był dowodem, że istniejemy, że nie zamikliśmy. Czasem niosłam ulotki w torebce obok chleba i mleka – jakby to były relikwie.

Były dni zwątpienia. Zimne mieszkanie, piec gasnący szybciej niż nadzieja. Dzieci proszące o pomarańcze, które znały tylko z obrazków. Strach, że ojciec nie wróci z przesłuchania. A jednak zawsze pojawiał się ktoś: spojrzenie w kolejce, ukryty znak „V”, bochenek pod drzwiami. Z tych drobnych gestów tką się wspólnota silniejsza niż mur.

Czerwiec 1989 pamiętam jak uroczystość bez sztandarów. Poszłam z rodzicami do komisji wyborczej. Mama w najlepszej sukience, ojciec z poważną miną. Patrzyłam, jak wrzucają kartki do urny, i wiedziałam, że w tej chwili historia oddycha pełną piersią. W komisji panowała cisza, w której każdy oddech brzmiał jak modlitwa. A potem – wieczorne wiadomości. Płacz i śmiech jednocześnie. Ojciec ujął mnie za rękę: „Zapamiętaj ten dzień, córeczko. To jest zwycięstwo”.

Smak wolności był gorzki i słodki. Gorzki od ciszy, od pustych talerzy i pustych nocy. Słodki, bo wreszcie można było odsłonić firanki i wpuścić światło bez lęku.

Dziś wiem, że zwycięstwo nie przyszło z dnia na dzień. Rosło w kuchniach, gdzie słuchało się radia po cichu. Rosło w piwnicach pachnących farbą drukarską. Rosło w

cierpliwości matek, w odwadze ojców, w spojrzeniach sąsiadów, w dłoniach, które dzieliły się ostatnim jabłkiem. Rosło w każdym z nas.

Byłam świadkiem. A świadek nie ma prawa milczeć. Musi pamiętać i mówić – za siebie, za tych, którzy nie doczekali, i za tych, którzy dopiero przyszli na świat.

Bo wolność, którą zdobyliśmy, była światłem zza firanki. A światło, raz zobaczone, już nigdy nie gaśnie.